

Faza fermentacji

2 sierpnia 2020

Tak to bywa, że najpierw jest wesoło; wszyscy się radują z osiągniętego sukcesu, wychylają toasty, aż wreszcie przychodzi pora, gdy zjawia się kelner z rachunkiem. Wtedy gwar milknie, śmiech zamiera na ustach i wszyscy z niepokojem spoglądają jeden na drugiego.

Coś takiego właśnie przydarzyło się naszym Umiłowanym Przywódcom. Jeszcze nie zdążyliśmy nacieszyć się zdobyczami w postaci 700 mld złotych, jakie udało się panu premierowi uzyskać z Unii Europejskiej w ramach 7-letniego budżetu na lata 2021-2027, nie mówiąc o uzgodnieniu, ile kto ma z tego wziąć, a już pojawił się kelner z rachunkiem.

Nawiasem mówiąc, kiedy z ołówkiem w ręku rozbierzemy sobie ten sukces z uwagą, to nie ma powodu do radości, a w każdym razie nie aż takiej.

Oto składka Polski do UE wynosi około 18 mld zł rocznie – około, bo wysokość zależy od aktualnego kursu walutowego. Siedmioletnia składka wynosi zatem co najmniej 130 mld złotych. Uprzejmie zakładając, że nikt nie kradnie, to kolejne 70 mld trzeba w ciągu 7 lat odliczyć na koszt biurokracji, która „rozpatruje wnioski”, a potem „rozdziela” subwencje. Mamy zatem już nie 700, a tylko 500 miliardów, z czego 153 mld to pożyczki, wprowadzie nisko oprocentowane, ale trzeba będzie je przecież oddać.

Zostaje zatem ok. 340 mld zł subwencji. Dzieląc tę kwotę przez 7 – bo budżet jest siedmioletni – rocznie Polska tak naprawdę otrzyma około 48 mld złotych, podczas gdy najniższe koszty obsługi długu publicznego z roku 2018 wynosiły prawie 30 mld rocznie.

A co będzie teraz, kiedy to deficyt może osiągnąć kwotę nawet 200 mld złotych? Te 48 mld to oczywiście lepsze, niż nic, ale

– jak zauważył Fryderyk Bastiat w broszurze „O tym co widać i o tym, czego nie widać”, za tę ucztę kelner właśnie zaczął wystawiać rachunek. Nie chodzi nawet o powiązanie wysokości tych subwencji z oceną praworządności, do której Nasza Złota Pani oraz niemieckie owczarki płci obojga w Komisji Europejskiej mają wzruszające wątpliwości, a BND za pośrednictwem tubylczych starych kiejkutów co i rusz podrywa agenturę zwerbowaną w swoim czasie w środowisku niezawisłych sędziów, którym na terenie Parlamentu Europejskiego sekundują tubylczy folksdojczy z Księciem Małżonkiem i grabiną Różą Thun und Handehoch – bo znacznie ważniejszą pozycją w przyniesionym przez kelnera rachunku będą koszty wprowadzenia tak zwanego Europejskiego Zielonego Ładu, zakładającego zmniejszenie do roku 2030 emisji złowrogiego dwutlenku węgla o 40, a może nawet o 55 procent.

Jak sama nazwa wskazuje, złowrogi dwutlenek bierze się z węgla, więc skoro mamy tak radykalnie zmniejszyć jego emisję, to trzeba już zabrać się do roboty. I właśnie w ramach regulowania rachunku za osiągnięty sukces, rozpoczęły się przygotowania – jak to ujęto w propagandzie sukcesu – do „restrukturyzacji Grupy Górniczej”, co jest eleganckim pseudonimem likwidowania kopalni węgla.

Na pierwszy ogień miała pójść do likwidacji kopalnia „Wujek”, która najwyraźniej miała pecha i za komuny i ma pecha za demokracji – ale oczywiście nie jest to ostatnie słowo, bo miecz Damoklesa zawisnął również nad innymi kopalniami. Według optymistycznych założeń tracący pracę górnicy będą mogli liczyć na „emeryturę pomostową” w wysokości 75 procent dotychczasowego wynagrodzenia.

Jeśli się nie zgodzą, to pan minister Sasin zagroził „upadłością całej Grupy Górniczej”. Ano – wybory prezydenckie już się zakończyły, a wraz z nimi – również umizgi i rozpoczyna się bolesny powrót do otaczającej nas coraz ciśniej rzeczywistości. Mimo to jednak rząd z tych pomysłów się wycofał w obawie przed buntem związkowców, których

przywódca, pan Dominik Kolorz zapowiada jako „podobne do powstań śląskich”. No cóż; górnicy, to nie sodomici, ani nawet „kobiety”, które coraz głośniejsz odgrają się, że w obronie „konwencji stambulskiej” „wyjdą na ulice”. Nie jest to pomysł specjalnie oryginalny; kobiety wielokrotnie wychodziły na ulice już wcześniej, najczęściej pod latarnię, gdzie najwidoczniej mają optymalne warunki rozwoju osobowości.

Z wnioskiem o wypowiedzenie konwencji stambulskiej wystąpił minister Ziobro, co podejrzliwcy wiążą z przepychankami w łonie Zjednoczonej Prawicy, w której trwa walka o schedę po Naczelniku Państwa. Z dotychczasowego przebiegu tych przepychanek wygląda na to, jakby Naczelnik Państwa upodobał sobie w premierze Morawieckim, który mógłby rozpocząć tworzenie własnego stronnictwa kosztem „przystawek” w postaci Solidarnej Polski ministra Ziobry i Porozumienia pobożnego posła Jarosława Gowina. Tak naprawdę jednak Naczelnik Państwa może rozważać poszerzenie podstawy politycznej rządu o 30 posłów Polskiego Stronnictwa Ludowego, które podczas ostatnich wyborów prezydenckich zostało dotkliwie upokorzone. PiS bowiem pokazało, że wypiera PSL z tradycyjnych jego mateczników w gminach wiejskich i małych miasteczkach, a jeśli ten proces jeszcze trochę potrwa, to z PSL zaczną uciekać do PiS również ci, którzy z hojności „ruchu ludowego” obsiedli tam wszystkie posady w sektorze publicznym.

Indiańskie przysłowie, które Naczelnik Państwa z pewnością zna, powiada, że „jeśli nie możesz ich pokonać, przyłącz się do nich”. Ale PSL-owi trzeba by za to zapłacić i dlatego mówi się o „restrukturyzacji” rządu, to znaczy – na odchudzeniu go w ten sposób, by zmniejszyć liczbę ministerstw, zwłaszcza obsadzonych przez przedstawicieli „stronnictw sojusznich”. Wszystko to oczywiście „dla Polski”, ale tak naprawdę – by oczyścić przedpole dla ewentualnej oferty dla PSL, której przyjęcie nauczyłoby pokory i ministra Ziobrę, a zwłaszcza – pobożnego posła Gowina, który na wiosnę tak strasznie się rozdokazywał, że aż zirytował Naczelnika Państwa.

Zgodnie z przewidywaniami, przepychanki trwają również w obozie zdrady i zaprzaństwa, gdzie pozycja Wielce Czcigodnego posła Pupki coraz bardziej się chwieje pod naporem Rafała Trzaskowskiego z jednej strony i Szymona Hołowni z drugiej. Wprawdzie Wielce Czcigodny poseł Pupka próbuje przekonywać obydwu, że partia musi być, a on na jej czele, ale ani jeden, ani drugi nie jest dziecko, więc obydwaj wiedzą, że to nie żadna „partia” jest najważniejsza, tylko aprobata starych kiejkutów i na żadne syrenie śpiewy Wielce Czcigodnego posła Pupki chyba się nie nabiorą.

Jak „partia” będzie potrzebna, to konfidenci zostaną odpowiednio rozkazy i zaraz się okaże, że nasz mniej wartościowy naród tubylczy ma nowego, jasnego idola. („Ach w kogóż nieszczęsny ma wpatrzyć się naród, by szukać jasnego idola, w którego umyśle zbawienia tkwi zaród? To jasne, że w pana Karola!” – powiada poeta.), pod którego przewodem pójdzie „na bój, na trud” – jak nakazuje „Międzynarodówka”.

Nawet pan dr Targalski, musiał nawrócić się na moją ulubioną teorię spiskową, bo powiada, że ten „triumwirat rozsądzi Targowicę”, ale ostatnie słowo należy oczywiście do Naszej Złotej Pani i będzie tak, jak ona postanowi.

Co ona postanowi, to stare kiejkuty wykonają i będzie gites, tenteges. Miło mi, że nawet uczeni politologowie zaczynają rozumieć, na czym ta cała demokracja polega.

Czegóż chcieć więcej?

Autorstwo: Stanisław Michalkiewicz

Źródło: Goniec.net